

PO DEMOKRACJI?

Głupawy tytuł, nawet znak zapytania go nie ratuje. Bo co miałyby nastąpić po demokracji? Powrót tyranii? Jej wszelakie postaci, najróżniejszymi maskowane sloganami, ludzkość już wypróbowała na własnej skórze, z jak najgorszym skutkiem. Tylko głupiec dałby się ponownie zakuć w stare kajdany, których ciężaru aż nadto dotkliwie zaznał.

Obojętnie, jak kuszącymi dekoracjami byłyby te kajdany przyozdobione i jakimi pachnidłami opryskane, dobrze znany smród wylaził będzie ze wszystkich kątów. Albo jeszcze gorzej, bo tytuł „po demokracji” sugeruje, że to już kaput i nie ma czego ratować. Jednak trochę jest tak, jak w modnej ostatnio książce Jacka Dukaja *Po piśmie*: wszyscy widzą, jak w epoce Internetu, smartfonów i portali społecznościowych stajemy się powoli społecznością półanalfabetów, ale umiejętność sprawnego napisania i przeczytania trzech zdań jest niezbędna nawet w czasach pełnej automatyzacji. Więc może jednak nie „po demokracji”. Ale „inna demokracja”?

■ KRAMIKI Z DEMOKRACJAMI

Tutaj już ustawia się cała kolejka chętnych ze swoimi straganami, a każdy przyozdobiony piękniejszym hasłem. Nad całą grupą politycznych kramików powiewa sztandar „demokracji nieliberalnej”, bo wszak, drodzy Państwo, wiadomo, że przebrzydły liberalizm jest już *passé*. Jak niepowetowanych szkód narobił, chętnie opowiada sam prezes Kaczyński albo w jego zastępstwie arcybiskup Jędraszewski, a jak komu mało, niech idzie po naukę do Putina. Mamy więc „demokrację suwerenną”, jakiego to sformułowania chętnie używa zarówno kremłowski samodzierzca, jak i jego budapeszteńska miniatura Viktor Orbán, „demokrację kierowaną” paru innych pomniejszych gagatków, „demokrację narodu” na coraz lepiej prosperujących stoiskach obsługiwanych przez spokojnych osiłeków w czarnych koszulkach i rozmaitość wszelkich podobnych odwołań. Nie ma

tylko „demokracji ludowej”, bo zbyt świeże jest wspomnienie „jesieni ludów” w niezapomnianych latach 1989–1990; ale poczekajmy trochę, pamięć jest krótka, a namiętności potężne. Ważniejsze jednak, że w długim szeregu dyktatorów, watażków, nieemerytowanych zbawców narodu albo tylko skromniutkich prezesów nie ma nikogo, kto uczciwie powiedziałby, gdzie ma demokrację i demokratów. Oznacza to, że w epoce „po demokracji” nie da się zrobić ani kroku bez niej, podobnie jak bez elementarza w epoce „po piśmie”. Jedyny chlubny wyjątek to nasz nieoceniony Korwin-Mikke, ale jego szanse na zdobycie władzy są mniejsze niż żadne. Ale też demokracja w świecie przestała wygrywać: do roku 2000 państw rządzonych demokratycznie przybywało, ostatnio przybywa już tylko dyktatur, ale nawet najbardziej odrażające z nich, z Koreą Północną na czele, mienią się „demokratycznymi”. To także znak czasu „po demokracji”.

■ OD NADZIEI DO STAGNACJI

Prawie 200 lat temu młody francuski arystokrata Alexis de Tocqueville zachwycał się raczkującą dopiero demokracją amerykańską; oczarowało go, że na ulicach Filadelfii jak równy z równym – niby na ateńskiej agorze – dyskutują o sprawach publicznych szewc i kupiec, bogacz i biedak, w tym samym stopniu czując się obywatelami swego miasta, stanu i federacji. Pisał potem: *Demokracja nie daje narodowi rządu najbardziej sprawnego, lecz dokonuje tego, co najrzęczniejszy rząd nie jest dokonąć w stanie: rodzi w całym organizmie społecznym niespokojne ożywienie, przemożną siłę i energię, które nie mogłyby bez niej zaistnieć i które – przy sprzyjających okolicznościach – mogą zdziałać cuda. Na tym polega jej prawdziwa wyższość.*

W Europie – w tym w jego rodzinnej Francji – demokracja była jeszcze nieprawomyślną mrzonką, która jednak już niedługo miała się ziścić uświęcona krwią kolejnych buntów i rewolucji. Dzisiaj, w rozpoczętych właśnie latach dwudziestych XXI wieku, nikt nie wypuści ze swego komputera podobnych zachwyty; oto miara postępu tych dwu stuleci: od gęsiego pióra Tocqueville’a (a może już stalówki?) do

mojego laptopa, ale jednocześnie od demokratycznej nadziei do dzisiejszej stagnacji. Jakaś prawda znajduje się więc także na straganach wrogów demokracji; funkcjonuje ona coraz gorzej i coraz gorzej jest oceniana przez ludzi, którym powinna służyć. Także w Ameryce Północnej, tej kolebce nowoczesnego ustroju demokratycznego.

Można to ująć jeszcze ostrzej: środkowoeuropejska „jesień ludów” przyniosła demokrację w miejsce – wydawałoby się – najbardziej od niej odległe, do sporej części upadającego imperium sowieckiego. Polska była chlubnym liderem tych wiekopomych przemian, dziś jest niestety przodownikiem na drodze odwrotu od demokracji, niszczenia jej podstaw; w badaniach opinii publicznej rośnie liczba rodaków, którzy – zakosztowawszy demokrację – już nie uważają jej za najlepszy z możliwych ustrojów i zaakceptowałyby rząd niedemokratyczny, który skutecznie zaprowadziłby jednoczesny ład, porządek i dobrobyt.

■ JESIEŃ DEMOKRACJI

Dlaczego demokracja najpierw chlubnie zwycięża, a potem pożera sama siebie? Nie tylko u nas, o czym świadczą coraz lepsze notowania wyborcze ugrupowań antydemokratycznych w Europie Zachodniej, a także prezydentury Trumpa w USA, Bolsonaro w Brazylii czy Duterte na Filipinach? A może ludzkość ma ukryty gen samozniszczenia, który każe jej na własną zgubę kwestionować te wartości, o które jeszcze niedawno walczyła, niszczyć wszystko, co z takim mozołem zbudowała?

Już u zarania tego ustroju – jakim były demokratyczne systemy starogreckich miast-państw (zwłaszcza Aten) – zdecydowanie nie podobał się on wielkiemu Platonowi, który opowiadał się za rządami mędrców, niezależnych od woli obywateli, bo oni kierować się będą tylko własnym poczuciem tego, co dla państwa dobre, nie zaś chwiejnymi poglądami ogółu materializującymi się w wynikach głosowań na kłótlivej agorze.

Podobnie Tocqueville – chwalać w swym fundamentalnym dziele młodą demokrację amerykańską, utyskiwał, że preferuje ona gładkie miernoty, a utrudnia dojście do władzy jednostkom wybitnym, mogącym stać się wyprzedającymi swój czas przywódcami. Łatwo zrozumieć krytykę ze strony Platona, którego równie wielki nauczyciel, jakim był Sokrates, został skazany na śmierć w sposób jak najbardziej demokratyczny przez zgromadzenie obywateli Aten. Zrozumieć tym bardziej, że

podstawą wyroku był kłamliwy donos. Ale preferowanie średniactwa przez demokrację jest wadą, wielokrotnie podnoszoną, tak z troską przez reformatorów, jak ze złośliwą satysfakcją przez jej wrogów.

Jednostka wybitna, patrząca daleko i przenikliwie, nie ma szans na wyborcze zwycięstwo, bo – jeśli chce zachować uczciwość – musi mówić swoim współobywatelom także rzeczy przykre, stawiać im wymagania; może, a nawet powinna obiecywać lepszą przyszłość, ale nie oszukiwać co do piętzących się trudności i wyzwań. Wyborcy pójda na wierzbie, niczego nie będzie wymagał, sygnie pochlebstwami. W czasach Platona nazywano takiego demagogiem, dziś objęło go pojęcie populizmu. Właśnie łatwość, z jaką populistą opętuje i zniewala głosującą większość, jest głównym argumentem dzisiejszych monarchistów i innych zwolenników odejścia od demokracji.

Ale może to nieuchronne? Przecież w głosującej masie przeważają „średniacy”, nic więc dziwnego, że nie wykazują zrozumienia dla wybitności, wręcz się jej boją. Polityk wybitny, z zaczynem wielkości, musi ukrywać własną osobowość, świadomie „różną głupa”, aby przypodobać się głosującemu średniactwu i dopiero po zwycięstwie pokazać, co potrafi.

■ GDZIE JEST USTRÓJ DOBRY?

Dobrze wiedział o tym Winston Churchill, po którym na zawsze pozostało nie tylko chlubne miejsce w historii Anglii i Europy, ale gorzkie stwierdzenie, że demokracja jest „najlepszym ze złych ustrojów”. Wszak demokratyczne wybory tuż po zakończeniu wojny okazały się klęską dla jej zwycięzcy. No, ale gdzie jest ten ustrój dobry?

Popatrzmy z innej strony: przy wszystkich swoich wadach demokracja stworzyła największe i najbardziej trwałe potęgi świata. Nawet kilka wieków temu polsko-litewska Rzeczpospolita – w okresie siły i rozkwitu – była mocarstwem, a jego demokratyczne instytucje wyprzedzały te, które powstawały ówczesnie na zachodzie Europy. Przecież w dzisiejszym świecie demokracja sprawdza się nie tylko w USA czy Unii Europejskiej, ale nawet biedne państwo demokratyczne nie głodują, nie ma tam rzezi, nie konstruuje bomby atomowej zamiast zaspokojenia elementarnych potrzeb obywateli. Jedna tylko wada demokracji nie daje się usunąć: przewlekłość procedur. Władca absolutny podejmie decyzję w minutę, sejmowładztwo potrzebuje tygodni i miesięcy, by ją wydysku-

tować, uklepać kompromis i w końcu uchwalić. Jest to nudne i męczące – zwłaszcza, gdy trzeba działać szybko – ale chroni przed pochopnością i głupimi błędami tyranii. W opieszałości tkwi siła demokracji pośredniej, bo starogrecka agora też ulegała emocjom.

System demokratyczny ewoluował od swych starogreckich początków aż po nasze czasy. Na antycznej agorze wystarczało bezpośrednie głosowanie zebranych obywateli. Wszyscy znali wszystkich i wiedzieli, co kto jest wart. Ale już w Rzeczpospolitej polsko-litewskiej demokracja realizowała się poprzez szczebel pośredni, jakim byli posłowie na Sejm wybierani przez sejmiki szlacheckie. Trudno przecież wyobrazić sobie, jak miałyby uchylać ustawy cała szlachta Rzeczpospolitej zebrana w jednym miejscu. Nie inaczej w USA czy w XIX-wiecznych demokracjach europejskich; głosujący obywatele wybierają swoich reprezentantów, a ci debatują, rozważają „za” i „przeciw”, w końcu coś uchwalają. Ale jak ci coraz liczniejsi wyborcy mają poznać kandydatów, ich poglądy i programy? Tak powstał stopniowo system partii politycznych prezentujących wyborcom swoje poglądy i współzawodniczących o ich głosy. Temu służyły coraz liczniejsze gazety, ulotki i broszury programowe, coraz bardziej tłumne wiece. Ta „demokracja masowa” – istniejąca niespełna sto lat, od ostatnich dziesięcioleci XIX wieku, do mniej więcej połowy XX – była chyba ostatnim w miarę niezłe funkcjonującym stadium tego ustroju. Wtedy miały swoje najlepsze dziesięciolecia wielkie partie polityczne i wielkie, drukowane media.

■ DEMOKRACJA LIBERALNA...

Sytuację zmieniło powstanie telewizji, a potem Internetu. Czytanie tekstu wymaga namysłu, można zawsze doń wrócić, przejrzyć jeszcze raz. W telewizji i Internecie decydujący jest nastrój i moment; migocących obrazków się nie cofa, choć taka możliwość istnieje, decyzje wyborcy stają się emocjonalne, wygrywa nie mądrzejszy, lecz przystojniejszy i bardziej sprawny w kłótniach przed kamerą. Programy partii znają tylko ich autorzy, reszta poprzestaje na hasłach mieszczących się w telewizyjnych pyskówkach. Umiejętność czytania i analizowania tekstów dłuższych niż podpis pod obrazkiem – zanika. Na małym ekranie czy smartfonie populistą ma swój raj, mądry jest nużącym nudziarzem. Tym bardziej że upodobniły się programy partii: prawa człowieka są uniwersalne, ekonomia jest zglobalizowana i wszędzie

taka sama, próżno żądać, by partie różniły się czymś więcej niż opakowaniem. A ponieważ nadal współzawodniczą o nasze głosy, starają się zaostrzać te różnice, aż po obrzucanie się obelgami. Przestały być kuźniami myśli politycznej, stały się machinami wynoszącymi polityków do władzy; i to polityków posłusznych partyjnej „wierchuszce”, a nie wyborcom. Wystarczy spytać: kto układa listy, na które potem my obywatele grzecznie głosujemy?

To nie koniec kłopotów. Powiadamy – i słusznie! – że jedyną postacią demokracji zasługującą na to miano jest demokracja liberalna, a więc zapewniająca pełnię wolności wszystkim, nie tylko zwycięzcy wyborów, ale także mniejszościom: politycznym, seksualnym, etnicznym, religijnym i jakie tylko mogą zaistnieć. Tych, którzy przegrali, należy szanować nie tylko ze względu na przyzwoitość, ale przeczność: kiedyś przecież znów mogą wygrać i spuścić manto obecnej władzy. Są jednak partie, które tej prostej zasady nie pojmują. Przegrane wybory oznaczają wtedy zmianę rządowych foteli na więzienne zydlę, więc zagrożony przegraną w trosce o własną skórę posunie się do każdego łajdactwa. Tak rozumiany liberalizm wobec mniejszości musi być podstawą wszelkiej demokracji, inaczej droga do dyktatury stoi otworem.

■ ...CZY NIEDEMOKRATYCZNY LIBERALIZM?

Jak jednak szanować tych, których wartości nie podzielamy, zwłaszcza takich, co nas denerwują; niech siedzą cicho i nie rzucają się zbyt często w oczy! Ale oni z kolei – powołując się na równość – też domagają się praw takich, jak rządząca większość. Trzeba więc uznać, że albo zwycięzcy wyborów zawsze mają rację, w myśl średniowiecznej zasady: „czyja władza, tego religia”, albo też ustanowić umocowane w konstytucji instytucje stojące na straży praw i poszanowania mniejszości. Tak się zwykle dzieje: mamy więc trybunał konstytucyjny, różne sądy odwoławcze, coraz liczniejszych rzeczników praw – dziecka, kobiet, mniejszości seksualnych i etnicznych. Demokracja liberalna jest przeto w coraz większym stopniu wymuszana przez niewybieralne, zwykle sędziowskie instytucje ważniejsze niż głos wyborczej większości. Stopniowo więc liberalna demokracja zmienia się w niedemokratyczny liberalizm.

Może większość w końcu pogodziłaby się z tą uciążliwą tolerancją, ale demagogia także tutaj pitrasi polityczną pieczeń. „Mniejszości narodowe to agentury obcych mocarstw!” – woła. „LGBT niszczy obyczaje i seksualizuje

dzieci!” Podobnie „kobiety są głupsze, bachory mają czuć respekt przed pasem, heretycy niech ukorzą się przed religią większości, a niepełnosprawni nie pchają w miejsca publiczne”. I tego typu slogany znajdują wdzięczny odzew, bo skoro wszyscy są równi i wszystkie racje są tak samo ważne, to mniejszości coraz więcej chcą dla siebie i coraz natarczywiej pragną prezentować swoją obecność. Nie ma bowiem „szlachetnego ludu” wedle Diderota, Rousseau i Marksa; jest tylko chwiejna, targana emocjami i sprzeczny interesami, nieraz nieobliczalna większość.

W ten sposób demokracja liberalna zjada samą siebie i coraz więcej wyborców jest z niej niezadowolonych. Popularność zyskują pokraczne twory nazywane się „demokracją”, ale ze stosownym przymiotnikiem. Zawsze chodzi o to, by wynik wyborów tak „skorygować”, aby był zgodny z oczekiwaniami rządzących, a mniejszości – nie pyskując za wiele – były zadowolone z tego, co im łaskawie podrzuci zwycięska większość.

■ CZEGO CHCEMY, DOKĄD ZMIERZAMY?

Pozostaje tylko przypomnieć list drugiego po Waszyngtonie prezydenta USA – Johna Adamsa – który tak pisał do siostrzeńca: *Pamiętaj, że demokracja nigdy nie trwa długo. W krótkim czasie zużywa się, wyczerpuje i zabija samą siebie. Nie było nigdy demokracji, która nie popełniłaby samobójstwa.* Dotyczy to przecież czasów, kiedy demokracja triumfowała za oceanem, ale w Europie była zaledwie pomysłem heretyków albo politycznych fantastów. Dzisiaj to w Adamsie, a nie Tocqueville’u dostrzegamy jej dalekowzrocznego proroka. Na pewno jednak to „niespokojne ożywienie” składające obywateli do troski o sprawę publiczną jest dziś widmem bezpowrotnie minionej przeszłości.

Jak z tego wybrnąć? Czy istnieje tylko wybór między nieliberalną demokracją a niedemokratycznym liberalizmem? Albo wybór jeszcze prostszy: skoro demokracja źle działa, postawmy u władzy „dobrego dyktatora”, „duchowego przywódcę” albo platońską elitę mędrców. Czym się to nieuchronnie kończy, dobrze wiemy z historii, choć niektórzy wciąż mają ochotę na powtórkę na własnej skórze.

Wydaje mi się, że podstawowym pytaniem o przyszłość nie jest kwestia sposobu wyłaniania samowładcy, ale dostosowania demokracji do warunków dzisiejszych, do epoki Internetu i powszechnej edukacji wyższej. Swe najlepsze lata system oparty o współzawodnictwo par-

tii politycznych ma bowiem za sobą. Tu czeka mnie oburzenie niejednego z Czytelników; przecież system jednopartyjny też odczuliśmy na własnej skórze ze skutkiem jak najgorszym! Dlatego nie proponuję nic podobnego, choć warto wiedzieć, że są koncepcje oparcia takiego systemu na partii, do której jednak nie można się ani zapisać, ani być dokooptowanym. Tę elitę władzy wybiera społeczność lokalna, bo ona najlepiej wie, kto jest godzien zaliczenia do niej. Ona też w każdej chwili może swego delegata odwołać. Oczywiście ta jedyna partia działa na poziomie ogólnokrajowym, ale przy takim sposobie powoływania nie jest sektą motywowaną ideologicznie ani też „grupą trzymającą władzę”, zwykle kurczowo. Były wśród „partyjnych reformatorów” w niezapomnianych latach 1980–1981 pomysły idące w tym kierunku, ale wszystko rozdeptał stan wojenny.

■ DEMOKRACJA BEZPOŚREDNIA, A MOŻE PANEL OBYWATELSKI...

Ciekawym pomysłem reformy jest powrót do demokracji bezpośredniej, czegoś w rodzaju ateńskiej agory, ale elektronicznej. Dzisiejszy internet umożliwia nie tylko natychmiastowe głosowanie, także błyskawiczne badanie opinii publicznej. Kiedy każdy będzie posiadał internetowy profil zaufany albo elektroniczny dowód osobisty ze stosownym czytnikiem, niemożliwe staną się oszustwa przez wielokrotne głosowanie. Nic nie stoi więc na przeszkodzie, by projekty ustaw poddawano natychmiastowej ocenie ogółu, bez sejmowego kunktorstwa i partyjnej stronniczości. Internetowo też można powoływać zespoły do zbadania konkretnych spraw, na przykład jutrzejszej „afery Banasia” i taki zespół nie stanie się areną partyjnych rozgrywek. Nie jestem jednak zwolennikiem tej koncepcji, bo „elektroniczna agora” będzie tak samo podatna na emocje i demagogię populistów jak agora ateńska, albo elekcyjne pole w Rzeczypospolitej, gdzie zbierała się szlachta dla wyboru króla.

Niezbędną dla rozsądnego stanowienia prawa „sejmovą opieszałość” zachowuje inny – bliższy mi – projekt reformy. Funkcje parlamentu przejmuje tu losowo wyłaniany kilkusetosobowy zespół stanowiący statystyczną reprezentację obywateli. Jego członkowie godzą się na paruletnie oderwanie od zajęć zawodowych i poświęcenie służbie publicznej. Otrzymują do dyspozycji zespoły ekspertów przygotowujące dla nich analizy proponowanych ustaw i ich skutków z uwzględnieniem różnych punktów widzenia. Debatują nad nimi i w końcu

uchwalają, odrzucają lub proponują zmiany, które wprowadzają prawnicy i przedstawiają zespołowi do ponownego rozpatrzenia. Partie polityczne mogą dalej istnieć, ale nie startują w wyborach, bo ich nie ma, jest tylko losowanie. Nie obrzucają się więc błotem, nie podgrzewają społecznych konfliktów, nie są trampoliną do kariery, zostały sprowadzone do roli lobbystów proponujących projekty do rozpatrzenia.

Zaletą tego projektu znanego jako „panel obywatelski” jest jego wypróbowanie z pozytywnym skutkiem, choć tylko w sprawach lokalnych, najczęściej w państwach skandynawskich. Taki panel zawsze podejmuje decyzje lepsze niż upolitycznione gremium z wyboru. Sprawą dyskusyjną na szczeblu ogólnokrajowym wydaje się sposób powoływania rządu, bo panel raczej się do tego nie nadaje. Sprawę rozwiązałby system prezydencki podobny do obowiązującego w USA: wybierany przez naród prezydent jest władzą wykonawczą. Powołuje rząd, ale jego członkowie muszą uzyskać akceptację „panelu obywatelskiego”. No i oczywiście to panel sprawuje władzę ustawodawczą i kontrolną.

■ NOC CIEMNA, DROGA DALEKA...

Projekty wielkiej reformy można mnożyć. Można też sobie wyobrazić jakieś sposoby pozwalające – z zachowaniem demokratycznych wyborów – kreować apolityczny rząd ekspertów. Można... No właśnie, wszystkie te projekty mają dwie wspólne wady: po pierwsze, są mgliste i nie wypróbowane. Po drugie: wprowadzenie któregośkolwiek z nich wymagałoby gruntownej zmiany konstytucji, a która partia – nawet w trosce o jak najlepiej rozumiane dobro wspólne – zgodzi się na samobójstwo? Tego przecież wymaga odejście od niedostosowanego do dzisiejszych warunków systemu partyjnego. Aparat której z potężnych dziś partii zrezygnuje z – dającej tyle zakulisowych możliwości – roli katapulty dla politycznych karier? Abdykuje i pójdzie do domu? Wolne żarty!

A przecież wielka reforma jest nieuchronna, tak jak nieuchronny był postęp technologii, który przeprowadził nas z epoki druku do epoki telewizji i potem Internetu. Zmieniała się technika i stopniowo przekształcała ludzką mentalność, ale demokrację praktykujemy tak, jakby wszystko było po staremu i naiwnie dziwimy się, że to „wszystko” nie działa. Jedyną grupą usatysfakcjonowaną dzisiejszym stanem jest zapewne tylko zawodowy aparat tych partyjnych potęg, bo on faktycznie jest suwerenem kulejącej i nikogo innego niesatysfakcjonującej

demokracji. To on kreuje rządy, wyznacza premierów i prezydentów, jemu muszą się podlizywać i jego słuchać aspiranci do poselskich czy ministerialnych karier. W ten właśnie sposób platońscy „mędrscy” – choć niekoniernie najmądrsi – wślizgnęli się chyłkiem na miejsce nie dla nich przeznaczone, ale dające prerogatywy do rządzenia. I skończyć musi się tak samo, jak w przypadku inaczej mianowanych, niewybie-ralnych elit władzy.

Pomimo wszystko jestem jednak umiarkowanym optymistą. Przed trzydziestu laty – gdy zaczynała się polska transformacja – nasz brytyjski sympatyk Timothy Garton-Ash pisał o startujących do przemian Polakach: *Noc ciemna, droga daleka, morze wzburzone, a załoga pijana*. A jednak daliśmy radę i jesteśmy na drugim brzegu. Tak samo może być z całym demokratycznym światem, ale pierwszym krokiem musi być wytrzeźwienie z upojenia internetowym hejtem, który ogrania także polityków z pierwszych stron gazet. Wtedy okaże się, że następne kroki są również możliwe.

■ RZĄD LUDU, PRZEZ LUD I DLA LUDU

Jedno tylko musi być pewne, obojętnie, w którą stronę pójdziemy: liberalizm nie jest *passé*, bo wolność nie zginęła i zginąć nie może. Razem z nią umarłaby wszelka demokracja. Wciąż jest ona – jak powiedział Abraham Lincoln w wiekopomnym „adresie gettysburskim”: *rządem ludu, przez lud i dla ludu*. Chyba że ludzkością rządzi jednak gen samozniszczenia, który każe dekonstruować wszystko, co wartościowego stworzyła.

Być może... Ale to byłaby już zupełnie inna historia.

Jerzy Surdykowski

